

# „Dożywocie“ z życiem i bez

Bardzo ciekawe przedstawienie „DOŻYWOCIA” w teatrze Ludowym w Nowej Hucie jest przykładem zarówno nieklimanym osiągnięć jak i nieporozumień wynikłych (o czym jestem przekonany) z nieodpowiedniego odczytania samej komedii, przy lekkim lekceważeniu tego, co redaktorzy w programie wydrukowali. Ale trzeba to szczegółowo udowodnić, przy mojej najgłębszej sympatii do sceny, która wykonuje swe zadania z podziwu godną wytrwałością.

Czym jest „Dożywocie”? Jest sztuka o upadku zasad moralnych zbudowanych przez odchodzącą klasę szlachecką. Akurat w tej prześwietnej komedii Aleksandra Fredry można mówić o tym głośniej. To już nie żadne tam cześniki ani sentymentalne wspominki; o dawnej świetności, to nie zemsta za mur graniczny kończąca się modlitwą o opamiętanie w obliczu wroga, który „wszedł w progi moje”. Oczywiście krętaćto i w „Zemście” łączy się z figlami, pięknymi. Ale w „Dożywociu” sprawa dotyczy pieniędzy i tylko pieniędzy. Z chciwości rodzi się więc opiekuńcza rola starego lichwiarza, który chce, aby Leon Birbancki żył najdłużej. Z chęci zażegnania tarapatów finansowych powstaje w Orgonie myśl, żeby młoda, piękna córka oddała w ręce starca, spekulanta. I gdyby nawet Różia wyzła za Łatkę — jakąż przyszłość zgotowałby jej skąpiec i „waluciarz”, (jak dzisiaj nazwalibyśmy takiego pana młodego)?

Kazimierz Witkiewicz miał w swej robocie reżyserskiej zadanie i ułatwione i (w pewnej mierze) utrudnione. We wspomnianym programie napisano, czym jest dożywocie w sensie finansowym. Było ono rentą lub dożywotnym prawem czerpania dochodów z czyszego majątku zakupionego najczęściej przez jakiegoś handlarza pieniężnego.

Nad całym przedstawieniem nowohuckim panuje niepodzielnie Henryk Giżycki w roli tytułowej. Jest to wybitny aktor, znakomicie pantajuący nad warszatem i przez to doskonale prowadzący proces

chwiarza, skąpca w jednej osobie. Giżycki jest szalenie sprężysty, giętki. Niczego raz na zawsze (czyli na czas przedstawienia) nie ustala. Czyni wrażenie, że za każdym razem wymyśla jakby od nowa swego Łatkę. Robi zeń postać charakterystyczną i postać z komedii charakterów. Zza pozornie safandulowanej przesłony zgarbionego staruszka ubranego w czarny surdut, wзира raz po raz morda pieniężnego łakomczucha, nawet kłamcy. W opozycji do tej wymuszanej przez chciwość postawy rzekomego dobrego opiekuna Birbanckiego — buduje swą rolę skąpymi raczej środkami Krzysztof J. Wojciechowski. Jego Leon jest lekkoduchem, ale jakby nieco za lekkim. Czy ten bijak — utracjusz potrafi stać się mężem Różi? Przypuszczamy, że będzie raczej zabawiał się, jak jego dwaj kompani Rafał i Michał Lagenowie, żonaci i szastający pieniędzmi popi- -bracia. Ułatwione więc miał zadanie reżyser przez dobre obsadzenie roli Łatki i oczywiście Leona Birbanckiego. Już w scenie początkowej denerwować zaczęły mnie wyraźnie niestaranności gestykulacyjne Zbigniewa Samogranickiego i Mariana Jaskulskiego. W tym miejscu trzeba podkreślić, że Giżycki imponował znakomitą interpretacją wiersza Fredry, zaś jego kompani sceniczni „przelatywali” — ów wiersz pośpiesznie. Chce więc przypomnieć, że logika sytuacji komediowych łączy się tu istotnie, głęboko z rozwojem intrygi; i lekceważenie wiersza we Fredrze jest niedopuszczalne. Trzeba to po prostu poprawić. Chociażby dlatego, że Giżycki ani na chwilę nie folguje; wiersz wtapia w sytuację sceniczną. Podobnie zresztą postępuje Tadeusz Szaniecki w roli Orgona, Zamaszysza postać szlachcica, jednak i utracjusza, robi na nas wrażenie. Artysta sceniczny urodzony, doświadczony, kreujący z zapamiętaniem swe role — tym razem wzbudził nas... ostrożny entuzjazm. Dlaczego — ostrożny? Tu już jest sprawa poważniejsza. Orgon w interpretacji Szanieckiego to przyjemny sumiasty ożujelek. Nawet w kwestii. Świecie tr

mentalny. Przecież, jak wspomnieliśmy na początku mamy do czynienia z odrażającym ojcowskim stręczycielstwem. Chciałbym, aby Szaniecki właśnie swym mistrzostwem pokazał pod pozorami owej dobrodusznosci — dość bezceremonialną bezczelność rodzica, który niby to ze ściśniętym sercem, dysponuje zamążpójście swego dziecka. Różia zresztą w interpretacji Ewy Sasładek była w przedstawieniu naszym bardzo wdzięczna, ale i ona miała kłopoty z wierszem.

Kreacją spektaklu nowohuckiego można nazwać robotę Andrzeja Gazdeczki w roli Twardosza. I co ciekawe — aktor wymyślił sobie coś w rodzaju grepsu sztywnego, groźnego lichwiarza, który wszystkie podstępny Łatkę, dawno zmierzył, nie chce kupować dożywocia, jakie zależy od długiego życia Birbanckiego. Gazdeczka czyni to wszystko w jakby zwolnionym rytmie, wydłuża gest, zastanawia się nad każdym wyborem. Ale już nad wyborem pieniężnym — najdłużej! Doskonale kostium z epoki (scenografia jest dziełem Janusza Warpechowskiego), karczemno-hotelowe obejście, zwolniony krok Gazdeczki, to „kupuje nie kupuje”, lysa głowa pasibrzucha — stanowią o sile wyrazu scen z udziałem tego artysty. Podobnie wykonał swe zadanie Jerzy Hojda w roli doktora Hugona. Adam Sądziak, Zbigniew Gorzowski, Zbigniew Horawa, Tomasz Poźniak, Jarosław Szwek jako służący, faktorzy, muzykanci uzupełniali raz błędy, raz osiągnięcia interpretacyjne swych towarzyszy scenicznych.